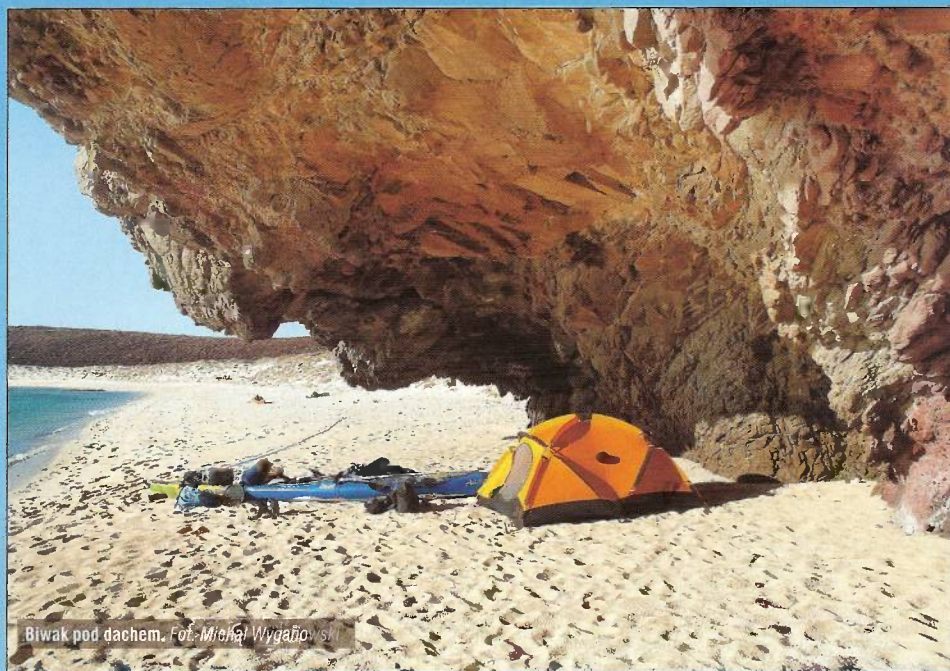


lądzie, odwiedzała nas wygłodniała, różnoraża zwierzyzna. Najbardziej we znaki dały nam się kojoty, które, niczego się nie bojąc, podchodziły bardzo blisko i kradły, co tylko złapały: buty, odzież, o jedzeniu nie wspominając. W nocy zdarzało się, że przypuszczały szturm na nasze namioty, przegryzały linki, włamywały się do kajaków, a nawet próbowały wchodzić do namiotów.

Podczas naszej wyprawy zdarzały się odcinki, gdzie znalezienie miejsca na biwak było niemożliwe, gdyż strome klifowe wybrzeże wyrastało wprost z wody przez ponad 35 km. W takich okolicznościach dobre warunki wiatrowe były dla nas bardzo ważne, gdyż nie było gdzie się schronić przed ewentualnym sztormem. W przeważającej części wyprawy linia brzegowa zapewniała jednak fantastyczne miejsca do biwakowania: piaszczyste, żwirowe i kamieniste plaże, wąwozy, w których, znajdowaliśmy wyrzucone przez fale kości wielorybów, szczątki delfinów, skorupy żółwi morskich. Na jednym z takich biwaków zdarzyło mi się dorzucić do ogniska znalezione jakby suche liście palmy, jednak nagle uderzenie smrodu podobnego do palących się włosów zmusiło mnie do przyjrzenia się rzekomym liściom. Szybko okazało się, że to wyrzucone przez morze fiszby wielorybie. A już mieliśmy nad tym ogniskiem grillować naszą skromną kolację!

Po przepłynięciu pierwszych 500 km byliśmy już starymi wilkami morskimi i żadne pułapki nie były nam straszne. Zdobywaliśmy prognozy od rybaków i mimo bariery językowej często się z nimi zaprzyjaźnialiśmy. Wszyscy spotkali ludzie, czy to na morzu, czy na lądzie, okazali się być bardzo przy-



Biwak pod dachem. Fot. Michał Wygaliński

jaźni i pomocni. Rybacy oferowali wodę i ryby, zaś w oazach na lądzie farmerzy uprawiający owoce cytrusowe częstowali nas najpyszniejszymi pomarańczami, grapefruitami i oprowadzając nas po swoich plantacjach, snuli opowieści o pradiadach, którzy te oazy zakładali.

Im byliśmy dalej na południu, tym było łatwiej. Pływy nie były już takie ogromne, a co za tym idzie, prądy morskie nie takie silne, pogoda bardziej przyjazna, wiatry łagodniejsze i większe skupiska cywilizacji, czyli od czasu do czasu małe miasteczka, w których można było odetchnąć trochę od życia na wodzie, najeść się, spotkać ludzi, skontaktować z bliskimi, by po dwóch dniach zatęsknić za wiosłowaniem i byciem na morzu lub pływaniu. Dodatkowo, im bardziej na

południe, tym więcej spotykaliśmy wielorybów i delfinów. Czasami było to trochę przerażające, gdyż wieloryby podpływały zbyt blisko, sprawiając wrażenie, jakby się chciały z nami bawić, nie zdając sobie oczywiście sprawy ze swoich rozmiarów i tego, jak łatwo mogą nas powyrwać. Na południu spotykaliśmy też więcej żeglarzy i jachtów motorowych, więc czuliśmy się bezpieczniej i różnie na wodzie. Zaczęliśmy również spotykać nielicznych kajakarzy – w większości byli to uczestnicy zorganizowanych wycieczek z przewodnikiem.

Do celu naszej wyprawy, czyli La Paz, dotarliśmy po 58 dniach, z czego wiele dni spędziliśmy uwiecznieni na brzegu, czekając, aż Neptun pozwoli nam bezpiecznie płynąć. Najlepszym sposobem, by przekupić kroja



Spotkanie z wielorybem. Fot. Michał Wyganowski

mórz i oceanów, było pozostawienie czegoś wartościowego na plaży podczas rozpakowywania kajaków. W czasie odpływu Neptun, posługując się pływem, zabierał daninę i mieliśmy pewność, że pogoda będzie dobra przez kolejne dwa dni, no i było mniej sprzętu do upychania w kajaku.

Cały przepłynięty dystans to około 1000 km. Każdy z tych kilometrów to wielka satysfakcja i niesamowite wrażenia, każdy dzień, czy to na lądzie, czy na wodzie, był niezapomnianym przeżyciem. Nie sposób tu opowiedzieć o wszystkich naszych przygodach, ale opiszę jeden dzień, który zapadł mi najbardziej w pamięci.

Był to 46. dzień naszej wyprawy. Startowaliśmy po kilku dniach odpoczynku z małego malowniczego miasteczka o nazwie Mulege, położonego nad rzeką, a w zasadzie ciekim wodnym wpadającym do morza. Wstaliśmy

o 6 rano i w pośpiechu rozpoczęliśmy pakowanie kajaków. Zależało nam bardzo na wczesnym starcie, gdyż do przepłynięcia mieliśmy 13-kilometrowy trawers wejścia do zatoki Bahía de Concepcion, która wciniała się w ląd na kilkadziesiąt kilometrów. Oznaczało to, że przez te 13 kilometrów będziemy na otwartym morzu, daleko od lądu. Wczesny start dawał nam większe prawdopodobieństwo dobrej pogody, czyli słabszych wiatrów.

Ok. godziny 8:00 wodujemy kajaki, zegnaliśmy się z nowo poznanymi przyjaciółmi i wyruszyliśmy w dół rzeki. Morze wygląda nieźle, choć wieje. Kierujemy się na oddalony o 13 kilometrów drugi brzeg. Inną opcją było płynięcie wzdłuż brzegu, wpłynięcie do zatoki Bahía de Concepcion, a następnie przeprowadzenie się w największym miejscu, postanawiamy jednak płynąć prosto do celu.

Początkowo jest nieźle, jednak wiatr się

SPEŁW W FIGUŁCE

Trasa: około 1000 kilometrów przez Morze Corteza, wzdłuż wybrzeża Półwyspu Kalifornijskiego.

Start z położonego na północnym krańcu San Felipe w kierunku południowym, do La Paz.

Termin: w naszym przypadku to miesiące zimowe, 58 dni od 13 stycznia do 12 marca 2012 r., bardziej dogodny termin z uwagi na siłę wiatrów to miesiące wiosenne i letnie – są one jednak niezwykle upalne.

Podróż: przelot samolotem z Warszawy do Denver, a następnie przejazd samochodem z kajakami do San Felipe w Meksyku. Po zakończeniu morskiej wyprawy w La Paz wypożyczyliśmy samochód, którym wróciliśmy na północ, by odebrać nasz samochód pozostawiony w San Felipe. Następnie powrót po kajaki do La Paz oraz zwiedzanie południowej części Półwyspu Kalifornijskiego aż do Cabo San Lucas, po czym powrót na północ, tym razem w kierunku granicy w Tijuanie i dalej do Denver w Colorado, skąd wylatywałem do Polski.

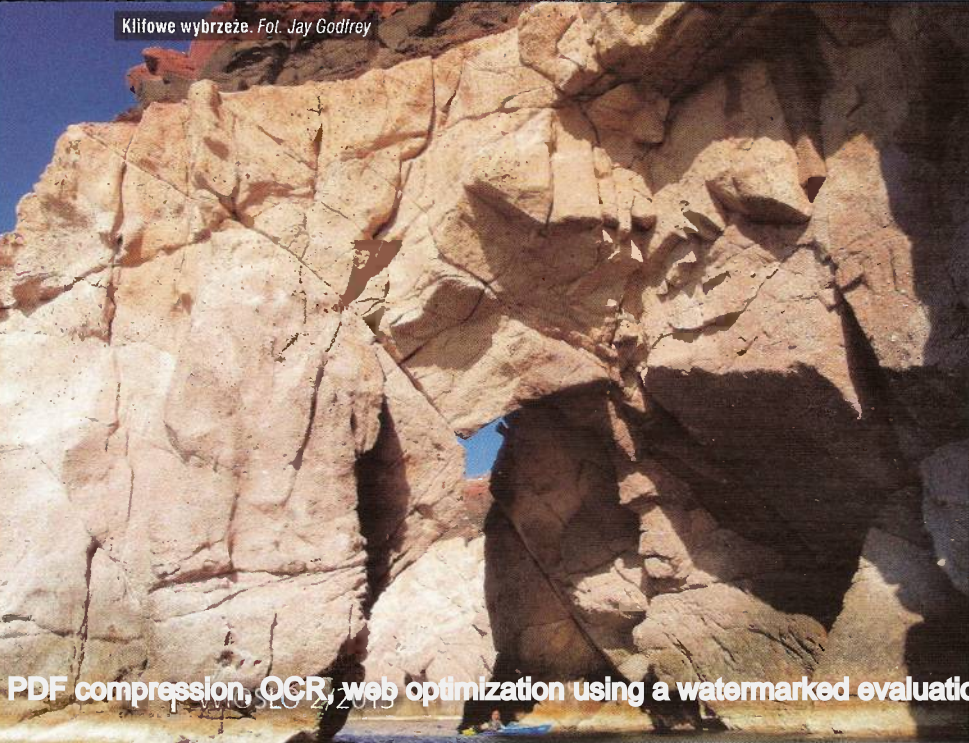
Noclegi: w namiotach.

Sprzęt: dwa plastikowe kajaki o długości 17 stóp (mój Dagger Atlantis, bardzo wiekowy, oraz Jaya Wilderness System model Tsunami).

Duży komfort zapewniała nam ręczna odslalarka morskiej wody firmy Katadyn, której wydajność to 4 litry pysznej wody na godzinę pompowania.

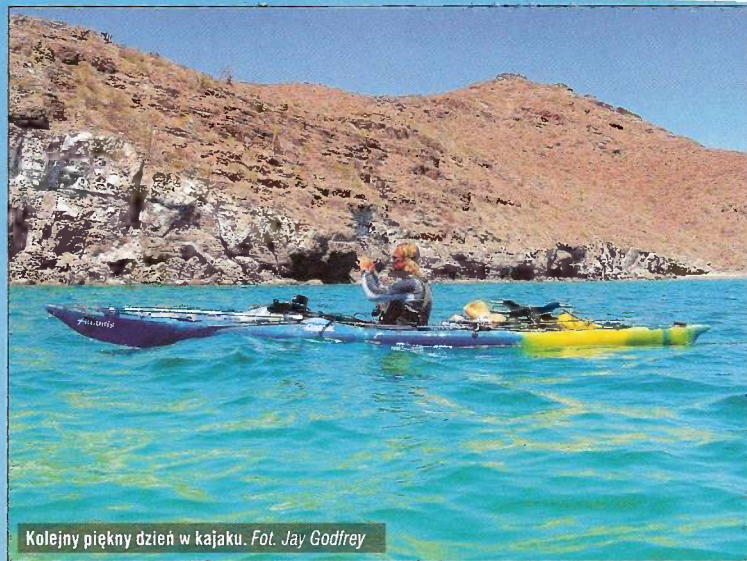
wzmaga i fale robią się coraz większe. Płynę za Jayem, by mieć pewność, że jesteśmy blisko siebie. Próbuje robić zdjęcia, lecz w tych warunkach nie jest to takie proste. Dzisiaj płynięcie wymaga pełnej koncentracji – chwila nieuwagi grozi wywrotką. Staram się nie myśleć, jaki kawał otwartej wody przed nami, lecz skupiam się na każdej nadchodzącej z północy fali. Musimy płynąć bokiem do fal. Nie jest to proste ani przyjemne, więc mój system polega na tym, że gdy widzę nadchodzące olbrzymy, ustawiam kajak dziobem do nich i cała naprzód; gdy fale przechodzą i jest bardziej płasko, płynę w dół fali. Tak zygając po trzech godzinach jesteśmy coraz bliżej brzegu po drugiej stronie, jednak wiatr się wzmaga, a fale stają się ogromne. Po drugiej stronie zatoki wybrzeże wydaje się być bardzo wystawione na działanie wiatru i fal, więc lądowanie może być problematyczne. Na dodatek już daleko od brzegu robi się płytko i fale, spiętrzając się, robią się niebezpieczne. Postanawiamy płynąć dalej i okrążyć dwa przylądki – Punta Hornitos i Punta Concepcion. Na podstawie mapy wiemy, że za nimi jest ostatnie dogodne miejsce na biwak. Jednak opływając przylądki, przeżywamy horror – najsilniejszy wiatr i największe fale, przy jakich kiedykolwiek przyszło nam pływać. Nigdy jeszcze w takim sztormie nie pływałem, a co dopiero w kajaku. Do tego skaliste wybrzeże i rafy. W razie wywrotki fale zmiażdżą nas o skały. Zgroza, wołam o tym nie myśleć i nawet tam nie patrzę. W trakcie opływania przylądków zmienia się zafalowanie – musimy najpierw walczyć pod falą i wiatr, by potem

Klifowe wybrzeże. Fot. Jay Godfrey





Morski przyjaciel. Fot. Michał Wyganowski



Kolejny piękny dzień w kajaku. Fot. Jay Godfrey

spłynąć z falą. Wiatr jest tak silny, że spycha nas w kierunku skał. Wiosłujemy z całych sił. Staram się być blisko Jaya, jednak w tych warunkach ciężko nam złapać kontakt wzrokowy – raz ja znikam w dolinie między falami, raz on, jednak od czasu do czasu się widzimy. Fale zalewają kajaki, spadają na nas z ogromną siłą, jestem cały przemoczony, nic nie widzę, bo całe okulary mam pokryte solą morską, adrenalina buzuje na całego, wszystkie mięśnie i zmysły pracują na najwyższych obrotach, by przetrwać ten horror, aluminiowe wiosło aż się wygina od moich potężnych odepchnięć od wody.

Okolo 12:00 udaje nam się opłynąć przylądek Punta Concepcion i musimy zmienić kierunek. Teraz jesteśmy tyłem do fal, co jest znacznie gorsze. Po pierwsze, nie widać nadchodzących gigantów, a do tego kajak jest mniej stabilny. Podczas spływania z fali ster mojego kajaka wychodzi z wody i nie mam nad nim dobrej kontroli; przy większych

falach kajak wpada w ślizg i trudno nad nim zapanować – przydałoby się większe doświadczenie w kajak-surfingu. Po jakimś czasie pojawia się dość głęboka zatoczka, więc krzyczę do Jaya, by płynął za mną i dopływamy do miejsca osłoniętego od wiatru i wzburzonej wody. Łądujemy na kamienistej plaży, wyciągamy kajaki i jesteśmy w szoku po tym, czego właśnie doświadczyliśmy. Cieszymy się, że żyjemy, wyciągamy tequila schowaną na czarną godzinę i koimy zmysły, dzieląc się wzajemnie swoimi wrażeniami z tej przeprawy. To był zdecydowanie najcięższy dzień mojego morskiego kajakarstwa, ale jestem szczęśliwy.

Miejsce na biwak wspaniałe – rozbijamy obóz, gotujemy i zastanawiamy się, co wydarzy się następnego dnia. Studiujemy mapę i okazuje się, że następne osłonięte od północy miejsce jest oddalone jakieś 32 km, więc postanawiamy nadchodzący według naszych prognoz sztorm przeczekać tutaj, nie chcemy

więcej ryzykować – dzisiejsza przygoda nam w zupełności wystarczy. Było naprawdę ciężko. Mieliśmy dużo szczęścia, że jesteśmy cali, zdrowi i kolejny raz okazuje się, że z Morzem Corteza nie ma żartów.

Do tego wszystkiego dzisiaj na wodzie byłem strasznie głodny i na tych falach postanowiłem zjeść baton energetyczny. Sięgnąłem po jeden, rozpakowałem i połknąłem szybko połowę. Okazało się, że opakowanie batonu leżącego w kajaku rozszczelniło się i dostała się do niego słona woda wymieszana z kremem rozgrzewającym, który był w tym samym luku, więc jakże byłem zdziwiony smakiem zazwyczaj pysznego pożywienia. Najpierw zdziwiła mnie sól, a potem miałem rozgrzane całe usta, język oraz żołądek – dobrze, że zjadłem tylko połowę. Po tequila wszystkie dolegliwości na szczęście ustąpiły.

To był niezwykły dzień, którego długo nie zapomnę i będę za nim tęsknił. Było strasznie, lecz ta walka, ta adrenalina, to wzburzone morze – to wszystko wydało mi się piękne.

Opowiedziałem tu przygody z jednego tylko dnia wyprawy, przepisując tekst z mojego pamiętnika, który mimo zmęczenia pisałem każdego dnia, a tych dni, jak już wspominałem, było kilkadziesiąt i wszystkie pełne różnorodnych przygód.

Szczerze polecam wszystkim zapaleńcom wiosłowania taką wyprawę lub choćby jej część – szczególnie południową część, czyli z Loreto do La Paz. W jednym z tych miast można wypożyczyć kajak, a w drugim go oddać. Ostatnich 200 kilometrów do Cabo San Lucas nie polecam, gdyż od La Paz na południe zaczynają się obszary prywatnych plaż i „wypasionych” kurortów *all inclusive* dla wygodnych wczasowiczów, co skutecznie zabija atmosferę jakiegokolwiek przygody. Morze Corteza na tej wyprawie pokazało wiele twarzy i swój trudny charakter, jakże podobny do mojego... **WIOSŁO**

Wizyta w oazie. Fot. Michał Wyganowski

